

Krystyna Chodorowska „Triskel”

Uroboros, premiera 20 czerwca 2018 r.

Fragment 2

Najdłuższe słowo prawdopodobnie znaczyło „grozi śmiercią”.

Od kilku godzin co jakiś czas wracał myślami do napisu na tabliczce umieszczonej od strony ulicy. Przyglądał się jej elementom, obracał je niczym puzzle. Nie znał tego języka, ale miał już niemal pewność, że rozpracował komunikat właściwie, tylko ten jeden fragment – „grozi śmiercią” – trochę go zmylił. Mieli na to jedno słowo.

W opuszczonym budynku dach zwykle zawałał się pierwszy i w tym przypadku też tak było. Na podłodze zalegały resztki pękniętych krokwi, strzępy izolacji i odłamki dachówek, ale ściany wciąż trzymały się mocno, z wyjątkiem jednej, tuż przy narożniku, pękniętej podczas pożaru, teraz odsłaniającej szeregi gołych, nadpalonych cegieł, jakby to były zęby. Okienne zawodziły ze skrzypieniem, a w ramie okiennej nie został już ani kawałek szyby, która chroniłaby wnętrze od deszczu. Wszystko wokół pachniało stęchlizną, pleśnią, wilgotną ziemią i kocimi sikami. Gdyby zadarł głowę, pomiędzy krokwiami zobaczyłby skrawki zachmurzonego nieba.

Leżał na podłodze, spoglądając poprzez wyrwę w ścianie, i czekał, aż wreszcie będzie po wszystkim. Odkasznął, a potem przełknął, próbując pozbyć się ucisku narastającego w gardle. Kilka dni spędzonych w tej zawilgłej norze zaczynało mu dawać w kość.

Poprawił ułożenie broni. Nad długą, dwudziestocalową lufą karabinu 0.88 wyrastał celownik snajperski 5.5-22x56, dzięki któremu zyskiwała niewiarygodną precyzję.

Duża, dwucalowa soczewka pozwalała obserwować nie tylko cel, ale też otoczenie, dzięki czemu strzelec mógł łatwiej oceniać siłę wiatru i przesunięcie osi. Spokojnie dawało się tym strzelać do obiektu odległego o kilometr i więcej, w teście na pięćset metrów pociski raz za razem przechodziły dokładnie przez ten sam otwór.

Duncan był znakomitym strzelcem.

Rozejrzał się za swoim celem, cierpliwie czekając, aż pojawi się w pobliżu budynku, gdzie regularnie go widywano. Należał do tych, którzy jako pierwsi otworzyli ogień do tłumu tamtego dnia podczas marszu w Connacht. Podejrzewano, że wykonywał rozkaz, który przyszedł ze znacznie wyższych kręgów, ale tego nikt nie był w stanie udowodnić, a już na pewno nie teraz, po tylu latach. Nawet ten niepozorny pionek miał zbyt mocne plecy, by dać się skazać w imperialnym sądzie. Sędzia bez drgnięcia w głosie nazwał jego postępowanie „uzasadnionymi środkami bezpieczeństwa w sytuacji kryzysowej” i powołał się na informacje techników, którzy podobno znaleźli przy zabitych materiały wybuchowe.

Jeden z nielicznych sprawców masakry, którzy w końcu stanęli przed sądem, ostatecznie nie spędził w więzieniu nawet pół miesiąca. Duncan, który stał wtedy w tłumie i patrzył, jak Coleen pada na bruk z przestreloną głową, dostał dziesięć.

Nikt z tych, którzy uważnie śledzili proces, nie miał większych złudzeń. Zawsze postawienie imperialnych żołnierzy przed sądem za zbrodnie w okupowanym kraju było bardzo trudne, a skazanie ich okazywało się właściwie niemożliwe. A zatem gdy tradycyjne środki zawiodły, Organizacja sięgnęła po inne metody.

Wiatr wciąż się wzmaczał, gwizdząc w zakamarkach budynku. Duncan znów poprawił pozycję lufy opartej na plecaku i wzdrygnął się, gdy niebo rozbłysło mu nad głową. Kolejnej błyskawicy towarzyszyło bębnienie deszczu. Dach rudery przeciekał, Duncan poczuł, jak kilka kropel spada mu na plecy, potem na głowę.

Nie po raz pierwszy zamarzyła mu się herbata Sinead.

Przypomnił sobie, jak czasami biegali po mieście do późna, pisząc na murach „Wolna Sidheania”, albo leżeli przyczajeni, tak jak teraz, czekając na krótki moment, żeby podbiec i zerwać imperialne flagi z oficjalnych budynków.

Wrócili później do niego, przemykając przez ciemną sień, a potem od drzwi do kuchni, na palcach, żeby nie obudzić gospodyni śpiącej w sąsiednim pokoju. Gdy próbował sam wstawić herbatę, Sinead, fukając, odganiała go od kuchenki i zajmowała się wszystkim sama. Czajnik miał rączkę z wygiętej blachy, która nagrzewała się od pary, trzeba go było chwycić przez ścierkę. Duncan czasem

sam o tym zapominał i parzył sobie palce, ale Sinead nigdy. Traktowała to jak jakiś święty proces, który wymagał najwyższej koncentracji.

Gdy wrzątek był gotowy, ostrożnie rozlewała go do kubków, Duncanowi dolewała trochę mleka, dla siebie wrzucała plasterki cytryny. Pili później w milczeniu, oddychając parą i popatrując na siebie znad kubków.

Kątem oka dostrzegł ruch, jeszcze zanim nadszedł umówiony sygnał. Nieopodal, pod ścianą najbardziej znanej spelunki w okolicy, pojawił się jego cel i przystanął, jakby czekał, aż dealer wyjdzie ze środka. Życie najwyraźniej nie oszczędzało byłego żołnierza, skoro zjawił się w tak kiepskiej dzielnicy przed podejrzanym lokalem, ale Duncan nigdy nie zwracał sobie głowy rozmyślaniami o tym, co mogło się dziać z jego ofiarami od czasu rozprawy, na której powinien był zapaść wyrok skazujący.

Jeszcze raz spojrzął na sylwetkę w celowniku. Wciąż nie dostał sygnału od umówionego kontaktu, ale widział, że ma czystą linię strzału, i był pewny, że mierzy do właściwego człowieka; wyraźnie widział ciemną bliznę biegnącą od ucha w poprzek szyi. Duncan nie był pierwszym, który miał do niego jakieś pretensje.

W tej samej chwili, jakby coś przeczuwając, cel uniósł głowę i spojrzął wprost na opuszczony budynek po drugiej stronie ulicy. Duncan był już całkiem pewny, że dzieje się coś niedobrego. Jeden dobry strzał, tyle musiało wystarczyć. Prosty ruch, samą opuszką palca. Nacisnął spust pomiędzy uderzeniami serca, żeby poprawić stabilność. Pocisk pomknął bezgłośnie i przebił ofierze głowę, rozrywając tył czaszki, aż tkanka mózgowa bryzgnęła na ścianę. Mężczyzna zgiął się wpół, oparł o drzwi i bardzo powoli osunął się na chodnik.

Duncan wiedział, że to jeszcze nie koniec. Jakimś dodatkowym zmysłem wyczuł, że ktoś stoi mu za plecami, i nawet domyślał się, co zamierza zrobić. Jeszcze nim jego cel zdążył paść na ziemię, odrzucił broń i zwinnie jak jaszczurka przetoczył się na bok. Opuścił ramię, chwytając nóż, wdzięczny losowi, że tym razem nie owinał słabszej ręki paskiem, by unieruchomić kolbę. Na krótkim dystansie człowiek potrafi się znacznie szybciej toczyć niż biec, więc nim tamten zareagował, Duncan zdążył znaleźć się tuż obok niego.

Zrywając się z ziemi, odepchnął broń w prawo – wciąż była wymierzona nisko – i przytrzymał ją lewą ręką.

Prawą z całej siły wbił ostrze w pierś mężczyzny, który próbował podkraść się do niego z odbezpieczonym pistoletem.

Wyrwał nóż w tej samej chwili, gdy napastnik osunął się na ziemię, ale nie było to już potrzebne, pistolet sam wysunął się z bezwładnej ręki. Duncan odrzucił broń na bok i teraz wreszcie zrozumiał, dlaczego nie doczekał się sygnału. Nie po raz pierwszy łapówka od imperium kosztowała kogoś życie.

Głowa ofiary opadała bezwładnie na bok, gdy telefon – tani prepaid, przekazany tuż przed akcją – zadrgał Duncanowi w kieszeni bojówek.

– Już po wszystkim? – odezwał się spokojny głos.

– Tak. – Odwrócił butem zwłoki. – Następnym razem powinniście ostrożniej dobierać informatorów.

W słuchawce zapadła cisza.

– Obawialiśmy się, że może do tego dojść – przyznał gładko jego zwierzchnik, którego nazwiska Duncan nigdy nie poznał, i chwilę milczał, jakby coś rozważał. –

Wygląda na to, że grunt zaczyna ci się palić pod nogami.

Może dobrze by było, gdybyś to gdzieś przeczekał.

– Co mam zrobić z tym bałaganem?

– Nie przejmuj się. Trzy przecznice na zachód będzie czekać samochód, granatowy hatchback z obtłuczonym zderzakiem. Kierowca przekaże ci instrukcje. Zostaw u niego bagaż.

Duncan wiedział, że nie chodzi o plecak z ubraniami.

Wytarł nóż o koszulkę trupa, a potem przykleknął i zaczął rozkładać broń, pakując części do niepozornej sportowej torby. Deszcz padał coraz gęściej, krople siekły jak lodowate igiełki. Mimowolnie znów pomyślał o herbacie i wiedział już, że na tym się nie skończy.

To jedno wspomnienie jakby przerwało pieczołowicie wzniesioną tamę, teraz napływały mu do głowy kolejne i kolejne i już wiedział, że spędzi cały wieczór, tęskniąc za Sinead. Dopadało go to czasem jak jesienna melancholia albo wątpliwości co do tego czy innego rozkazu.

Szybko dokończył pakowanie.

Gdy wyszedł, z ciemnych chmur lało już się strumieniami.

Drelichowa wojskowa kurtka jeszcze przez jakiś czas miała ochronić go przed deszczem, ale ze wszystkich stron ściekało mu za kołnierz, a obolałe gardło tylko wzmagало ogólną irytację. Włożył plecak, zarzucił na ramię torbę i ruszył na zachód.

* * *

Duncan McGuire miał piętnaście lat, gdy został żołnierzem Sidheńskiej Armii Republikańskiej.

Sinead była jeszcze młodsza. Patrząc na nią, Duncan miał wręcz wrażenie, że sam chyba nigdy nie był takim dzieciakiem. Nosiła krótką, krzywo przyciętą fryzurę, spoglądała na wszystko wielkimi oczami i chodziła za nim wszędzie, jakby była świeżo wyklutym pisklęciem, a on – pierwszą istotą, jaką zobaczyła w życiu. Właściwie nie powinna się plątać nigdzie w pobliżu akcji, ale jednak miał te szesnaście lat i nie potrafił przepuścić żadnej okazji, żeby zrobić wrażenie na dziewczynach, choćby na koleżance ze szkoły, i to nawet takiej jak mała Sinead. Najpierw kazał jej stać na czujce. Za trzecim razem wręczył jej puszkę farby, byle tylko dała mu spokój, i z zaskoczeniem stwierdził, że pomysł okazał się całkiem niezły. Dziewczyna była sprytna, szybko się uczyła i nie panikowała, a po powrocie robiła najlepszą herbatę, jaką w życiu pił.

A potem okazało się, że potrafi nie tylko robić herbatę.

W końcu dowiedzieli się, jak daleko sięgają jej zdolności, i stało się to w najgorszej możliwej chwili.